

BIBLIOTECKA UNIwersYTETÓw LUDOWYCH 69

BOLESŁAW PRUS

(ALEKSANDER GŁOWACKI)

**CIENIE
Z LEGEND DAWNEGO EGIPtu
W GÓRACH**

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSAWA KRAKÓW LUBLIN ŁÓDŹ POZNAŃ WILNO
THE POLISH BOOK IMPORTING COMPANY INC. NEW YORK



PRU
LIE.

385



Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch — wielka armia nocy, o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armia, która od niepamiętnych czasów pasuje się¹⁾ ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczoru, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załawkach murów. Rozproszona i na pozór nieobecna, wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jes' w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu

¹⁾ Walczy.

przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wdrzeć się na nie zajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armia zmroków gęstymi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapełnia korytarze domów, sienie i źle oświetlone schody; z pod szaf i stołów wypelza na środek pokoiów i obsiada firanki; przez lufty¹⁾ piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchem milczeniu szturmując ściany i dachy i, zacząłona na szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka, i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności, sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać. Barwy i kształty rozplyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

W takiej chwili na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie i, roznieciwszy wesole światło, znika, jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży się lipcowa burza, czy rozhukane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu, czy w powietrzu klębią się zimowe śniegi, — on zawsze, skoro tylko

¹⁾ Otwory dla dopuszczenia powietrza.

nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki, roznieca światło, a potem znika, jak cień.

Skąd się ty bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które, postawiwszy w kącie twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty wogóle posiadasz jaki dom, w którymby cię znaleźć można? imię, którem możnaby ciebie zawołać? potrzeby i uczucia, któreby cię robiły takim, jak my, człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujętą, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika, jak cień?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża:

— Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

— U nas.

— A gdzie?

— W tamtej komórcie.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okno, ale tylko zobaczyłem tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było.

— Powiedz mi przynajmniej, jak on wygląda?

— Kto go tam wie! — odparł stróż, wzruszając ramionami. — Sam go nawet dobrze nie znam — dodał — bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W pół roku przyszedłem drugi raz.

— A dziś niema w domu latarnika?

— Oho! — rzekł stróż — niema i nie będzie.

Wczoraj go pochowali. Umarł.

Stróż zamyślił się.

Zapytawszy o kilka szczegółów, pojechałem na cmentarz.

— Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

— Latarnika?... — powtórzył. — Kto go tam wie! Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

— Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

— Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

— Ale on leżał w niemalowanej trumnie.

— Takich zwieźli szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego grobu. I został tem po śmierci, czem był za życia: istotą, widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytą, jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna; gdzie na skrepowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i niena-

wieść: po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje nie poznany, trzodzi się nie oceniony, a potem znika, jak cień...

Z LEGEND DAWNEGO EGIPTU.

Patrzcie, jak marne są ludzkie nadzieje wobec porządku świata! patrzcie, jak marne są wobec wyroków, które ognistymi znakami wypisał na niebie Przedwieczny!...

Stuletni Ramzes, potężny władca Egiptu, dogorywał. Na pierś mocarza, przed którego głosem pół wieku drżały miliony, padła dusząca zmora i wypijała mu krew z serca, siłę z ramienia, a chwilami nawet przytomność z mózgu. Leżał, jak powalony cedr ¹⁾, wielki faraon na skórze indyjskiego tygrysa, okrywszy nogi tryumfalnym płaszczem króla Etyopów ²⁾. A surowy nawet dla siebie, zawołał najmędrszego lekarza ze świątyni w Karnaku ³⁾ i rzekł:

— Wiem, że znasz tegie lekarstwa, które albo

¹⁾ Drzewo iglaste, rosnące w ciepłych krajach; dochodzi wielkiej wysokości.

²⁾ Etyopi — naród, mieszkający w graniczącej z Egiptem części pustyni Sahary.

³⁾ Miasto w Egipcie.

zabijają, albo odrazu leczą. Przyrządź mi jedno z nich, właściwe mojej chorobie, i niech mi się to raz skończy... tak albo owak.

Lekarz wahał się.

— Pomyśl, Ramzesie — szepnął — że od chwili twego zstąpienia z wysokich niebios Nil wlewał już sto razy; mogeż ci zadać lekarstwo, niepewne nawet dla najmłodszego z twoich wojowników?

Ramzes aż usiadł na łożu.

— Snadź jestem bardzo chory — zawołał — kiedy ty, kapłanie, ośmielasz się dawać mi rady! Milcz i spełnij, com kazał. Żyje przecież trzydziestoletni wnuk mój i następca, Horus; Egipt zaś nie może mieć władcy, któryby nie dosiadł wozu i nie dźwignął oszczepu.

Gdy kapłan drżącą ręką podał mu straszne lekarstwo, Ramzes wypił je, jak spragniony pije kubek wody; potem zawołał do siebie najsłynniejszego astrologa z Teb¹⁾ i kazał szczerze opowiedzieć, co tam pokazują gwiazdy.

— Saturn²⁾ połączył się z Księżycem — odparł mędrzec — co zapowiada śmierć członka twojej dynastyi, Ramzesie. Źle zrobiłeś, pijąc dzisiaj lekarstwo, bo puste są ludzkie plany wobec wyroków, które na niebie zapisuje Przedwieczny.

— Naturalnie, że gwiazdy zapowiedziały moją śmierć — odparł Ramzes. — I kiedyż to może nastąpić? — zwrócił się do lekarza.

¹⁾ Miasto w gipcie.

²⁾ Planeta.

— Przed wschodem słońca, Ramzesie, albo będziesz zdrów, jak nosorożec, albo twój święty pierścień znajdzie się na ręce Horusa.

— Zaprowadźcie — rzekł Ramzes cichnącym już głosem — Horusa do sali faraonów; niech tam czeka na moje ostatnie słowa i na pierścień, ażeby w sprawowaniu władzy ani na chwilę nie było przerwy.

Zapłakał Horus (miał on serce pełne litości) nad blizką śmiercią dziada; ale że w sprawowaniu władzy nie mogło być przerwy, więc poszedł do sali faraonów, otoczony liczną zgrają służby.

Usiadł na ganku, którego marmurowe schody biegly w dół aż do rzeki i, pełen nieokreślonych smutków, przypatrywał się okolicy.

Właśnie księżyc, przy którym tliła się złowroga gwiazda Saturn, złościł spiżowe wody Nilu, na łąkach i ogrodach malował cienie olbrzymich piramid i na kilka mil wokół oświecł całą dolinę. Mimo późnej nocy, w chatach i gmachach płonęły lampy, a ludność pod otwarte niebo wyszła z domów. Po Nilu snuły się łódki gęsto, jak w dzień świąteczny; w palmowych lasach, nad brzegami wody, na rynkach, na ulicach i obok pałacu Ramzesa falował niezliczony tłum. A mimo to, była cisza taka, że do Horusa dolatywał szmer wodnej trzciny i jęgliwe wycie szukających żeru hyen.

— Czemu oni tak się gromadzą? — spytał Horus jednego z dworzan, wskazując niezmierzone łany głów ludzkich.

— Chcą w tobie, panie, przywitać nowego fa-

raona i z twoich ust usłyszeć o dobrodziejstwach, jakie im przeznaczyłeś.

W tej chwili pierwszy raz o serce księcia uderzyła duma wielkości, jak o brzeg stromy uderza nadbiegające morze.

— A tamte światła co znaczą? — pytał dalej Horus.

— Kapłani poszli do grobu twej matki, Zefory, ażeby zwłoki jej przenieść do faraonskich katakumb.

W sercu Horusa na nowo zbudził się żal po matce, której szczątki — za miłosierdzie, okazywane niewolnikom — srogi Ramzes pogrzebał między niewolnikami.

— Słyszę rzenie koni — rzekł Horus, nasłuchując — kto wyjeżdża o tej godzinie?

— Kanclerz, panie, kazał przygotować gońców po twojego nauczyciela, Jetrona.

Horus westchnął na wspomnienie ukochanego przyjaciela, którego Ramzes wygnał z kraju za to, że w duszy wnuka i następcy szczepił odrazę do wojen, a litość dla uciśnionego ludu.

— A tamto światelko za Nilem?...

— Tamtem światłem, o Horusie! — odparł dworzanin — pozdrawia cię z klasztornego więzienia wierna Berenika. Już arcykapłan wysłał po nią łódź faraonską; a gdy święty pierścień błysnie na twojej ręce, otworzą się ciężkie drzwi klasztorne, i powróci do ciebie stęskniona i kochająca

Usłyszawszy takie słowa, Horus już o nic nie pytał; umilkł i zakrył oczy ręką.

Nagle syknął z bólu.

— Co ci jest, Horusie?

— Pszczola ukąsiła mię w nogę — odparł po-
bladły książę.

Dworzanin przy zielonawym blasku księżyca
obejrzał mu nogę.

— Podziękuj Ozyrysowi¹⁾ — rzekł — że to
nie pająk, którego jad o tej porze bywa śmiertelny.

O! jakże marne są ludzkie nadzieje wobec
niecofnionych wyroków...

W tej chwili wszedł wódz armii i, skłoniwszy
się Horusowi, powiedział:

— Wielki Ramzes, czując, że mu już stygnie
ciało, wysłał mnie do ciebie z rozkazem: »Idź do
Horusa, bo mnie niedługo na świecie, i spełniaj
jego wolę, jak moją spełniałeś. Choćby kazał ci
ustąpić Górny Egipt Etyopom i zawrzeć z tymi
wrogami sojusz braterski, wykonaj to, gdy mój
piescień ujrzysz na jego ręce; bo przez usta wład-
ców mówi nieśmiertelny Ozyrys«.

— Nie oddam Egiptu Etyopom — rzekł
książę — ale zawrę pokój, bo mi żal krwi mego
ludu; napisz zaraz edykt²⁾ i trzymaj w garści
konnych gońców, aby, gdy błysną pierwsze ognie
na cześć moją, polecieli w stronę południowego
słońca i zanieśli łaskę Etyopom. I napisz jeszcze
drugi edykt, że od tej godziny aż do końca cza-
sów żadnemu jeńcowi nie ma być wrywany ję-
zyk z ust jego na polu bitwy. Tak powiedziałem.

Wódz upadł na twarz, a potem cofnął się,

¹⁾ Bóg egipski.

²⁾ Rozporządzenie, ukaz.

aby pisać rozkazy; księżę zaś polecił dworzani-
nowi znowu obejrzyć swoją ranę, gdyż bardzo go
bolała.

— Trochę spuchła ci noga, Horusie — rzekł
dworzanin. — Cóżby się stało, gdyby zamiast
pszczoły ukąsił cię pająk!...

Teraz wszedł do sali kanclerz państwa i, skło-
niwszy się księciu, mówił:

— Potężny Ramzes, widząc, że już mu się
wzrok zaćmiewa, odesłał mnie do ciebie z rozka-
zem: »Idź do Horusa i ślepo spełniaj jego wolę.
Choćby ci kazał spuścić z łańcucha niewolników,
a lud obdarować wszystką ziemią, uczynisz to, gdy
zobaczysz na jego ręce mój święty pierścień, bo
przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys».

— Tak daleko nie sięga serce moje — rzekł
Horus. — Ale zaraz napisz mi edykt, jako ludowi
zniża się czynsz dzierżawny i podalki o połowę,
a niewolnicy będą mieli trzy dni na tydzień wolne
od pracy i bez wyroku sądowego nie będą bici ki-
jem po grzbietach. I jeszcze napisz edykt, odwołu-
jący z wygnania mego nauczyciela, Jetrona, który
jest najmędrszym i najszlachetniejszym z Egipcyan.
Tak powiedziałem.

Kanclerz upadł na twarz, lecz, nim zdążył cof-
nąć się dla napisania edyktów, wszedł arcykapłan.

— Horusie — rzekł — lada chwila wielki
Ramzes odejdzie do państwa cieniów, i serce jego
na nieomylnej szali zważy Ozyrys. Gdy zaś święty
pierścień faraonów błysnie na twojej ręce, rozka-
zuj, a słuchać cię będę, choćbyś obalić miał cu-

downą świątynię Amona ¹⁾, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys.

— Nie burzyć — odparł Horus — lecz wznosić będąc nowe świątynie i zwiększać skarbiec kapłański. Żądam tylko, abyś napisał edykt o uroczystem przewiezieniu zwłok matki mojej Zefory do katakumb ²⁾ i drugi edykt... o uwolnieniu ukochanej Bereniki z klasztornej więzienia. Tak powiedziałem.

— Mądrze poczynasz — odparł arcykapłan. — Do spełnienia tych rozkazów wszystko już przygotowane, a edykty zaraz napiszę; gdy ich dotkniesz pierścieniem faraonów, zapalę tę oto lampę, aby zwiastowała ludowi łaski, a twojej Berenice wolność i miłość.

Wszedł najmędrszy lekarz z Karnaku.

— Horusie — rzekł — nie dziwi mnie twoja bladość, gdyż Ramzes, dziad twój, już kona. Nie mógł znieść potęgi lekarstwa, którego mu dać nie chciałem, ten mocarz nad mocarze. Został więc przy nim tylko zastępca arcykapłana, aby, gdy umrze, zdjąć święty pierścień z jego ręki i tobie go oddać na znak nieograniczonej władzy. Ale ty bledniesz coraz mocniej, Horusie?... — dodał.

— Obejrzyj mi nogę — jęknął Horus i upadł na złote krzesło, którego poręcze wyrzeźbione były w formę głów jastrzębich.

Lekarz ukląkł, obejrzał nogę i cofnął się przerażony.

¹⁾ Bożek egipski.

²⁾ Katakumby — groby murowane.

— Horusie — szepnął — ciebie ukąsił pająk bardzo jadowity.

— Miałbym umrzeć?... w takiej chwili?... — spytał ledwie dosłyszalnym głosem Horus.

A później dodał:

— Prędkoż to może się stać?... powiedz prawdę...

— Nim księżyc schowa się za tę oto paime...

— Ach, tak!... A Ramzes długo jeszcze żyć będzie?...

— Czy ja wiem?... Może już niosą ci jego pierścień.

W tej chwili weszli ministrowie z gotowymi edyktami.

— Kanclerzu! — zawołał Horus, chwytając go za rękę — czy, gdybym zaraz umarł, spełniliście moje rozkazy?

— Dożyj, Horusie, wieku twego dziada! — odparł kanclerz. — Lecz, gdybyś nawet zaraz po nim stanął przed sądem Ozyrysa, każdy twój edykt będzie wykonany, byleś go dotknął świętym pierścieniem faraonów.

— Pierścieniem! — powtórzył Horus — ale gdzie on jest?...

— Mówił mi jeden z dworzan — szepnął naczelny wódz — że wielki Ramzes już wydaje ostatnie tchnienie.

— Posłałem do mego zastępcy — dodał arcykapłan — aby natychmiast, gdy Ramzesowi serce bić przestanie, zdjął pierścień.

— Dziękuję wam!... — rzekł Horus. — Żal mi... ach, jak żal... Ale przecie nie wszystek umrę...

Zostaną po mnie błogosławieństwa, spokój, szczęście ludu, i... moja Berenika odzyska wolność... Długo jeszcze?... — spytał lekarza.

— Śmierć jest od ciebie na tysiąc kroków żołnierskiego chodu — odparł smutno lekarz.

— Nie słyszycie?... nikt stamtąd nie idzie?... — mówił Horus.

Milczenie.

Księżyc zbliżał się do palmy i już dotknął pierwszych jej liści; mialki piasek cicho szeleścił w klepsydrach.

— Daleko?... — szepnął Horus.

— Osiemset kroków — odparł lekarz — nie wiem, Horusie, czy zdążysz dotknąć wszystkich edyktów świętym pierścieniem, choćby ci go zaraz przynieśli...

— Podajcie mi edykty — rzekł książę, nasłuchując, czy nie biegnie kto z pokojów Ramzesa. — A ty kapłanie — zwrócił się do lekarza — mów, ile mi życia zostanie, abym mógł zatwierdzić przynajmniej najdroższe mi zlecenia.

— Sześćset kroków — szepnął lekarz.

Edykt o zmniejszeniu czynszów ludowi i pracy niewolnikom wypadł z rąk Horusa na ziemię.

— Pięćset...

Edykt o pokoju z Etyopami zsunął się z kolan księcia.

— Nie idzie kto?...

— Czterysta... odpowiedział lekarz.

Horus zamyślił się, i... spadł rozkaz o przeniesieniu zwłok Zcfory.

— Trzysta...

Ten sam los spotkał edykt o odwołaniu Je-
trona z wygnania.

— Dwieście...

Horusowi zsiniwały usta. Skurczoną ręką rzucił
na ziemię edykt o niewyrywaniu języków wziętym
do niewoli jeńcom, a zostawił tylko... rozkaz oswo-
bodzenia Bereniki.

— Sto...

Wśród grobowej ciszy usłyszano stuk sanda-
łów. Do sali wbiegł zastępca arcykapłana. Horus
wyciągnął rękę.

— Cud!... — zawołał przybyły. — Wielki Ram-
zes odzyskał zdrowie... Podniósł się krzepko z łoża
i o wschodzie słońca chce jechać na lwy... Ciebie
zaś, Horusie, na znak łaski, wzywa, abys mu towa-
rzyszył...

Horus spojrzał gasnącym wzrokiem za Nil,
gdzie błyszczało światło w więzieniu Bereniki,
i dwie łyzy, krwawe łyzy stoczyły mu się po twarzy.

— Nie odpowiadasz, Horusie?... — spytał zdzi-
wiony posłaniec Ramzesa.

— Czyliż nie widzisz, że umarł? — szepnął
najmędrszy lekarz z Karnaku.

Patrzcie tedy, że marne są ludzkie nadzieje
wobec wyroków, które Przedwieczny ognistymi
znakami wypisuje na niebie...

W GÓRACH.

— Panie drogi — mówił do mnie jeden z przyjaciół, wielki dziwak — panie drogi, homeopaci¹⁾ mają znakomitą zasadę: »podobne leczy się podobnem«. Przecież ospę nawet alopaci²⁾ leczą ospą, a Pasteur³⁾ wściekliznę chce leczyć wścieklizną. Ale na co te przykłady?... Opowiem panu fakt, na który patrzałem, gdzie człowiek z urojonych strachów uleczył się za pomocą istotnego niebezpieczeństwa.

Po tym wstępie mój przyjaciel zapalił cygaro i ciągnął dalej:

¹⁾ Homeopaci — zwolennicy homeopatii, t. j. sposobu leczenia, polegającego na dawaniu choremu niezmiernie małych ilości lekarstwa, wywołującego także objawy, jakie widzimy u chorego (np. na gorączkę daje się środek, wywołujący podniesienie ciepłoty ciała).

²⁾ Alopaci — zwolennicy alopatii, t. j. kierunku wręcz przeciwnego: zalecają duże dawki lekarstwa, wywołującego przeciwne chorobie objawy (np. w gorączkę dają środki, obniżające ciepłotę ciała).

³⁾ Słynny współczesny lekarz francuski, wynalazca sposobu szczepienia wścieklizny.

— Pierwszy raz widziałem Alpy przed dwudziestu laty, przyjechawszy do Thusis. W kilka dni po przybyciu do tego miasteczka, wybrałem się z pewnem towarzystwem na mały spacer. Przy tej jednak okazji ¹⁾ najadłem się tyle strachu, że, zniechęcony, natychmiast opuściłem Thusis, a następnie przez kilka lat nie mogłem patrzeć na góry.

Na ową wycieczkę poszliśmy w sześć osób, było nas dwu Polaków, Niemiec, Anglik i dwie damy Francuzki, wszystko lokatorowie tego samego hotelu. Nie wzięliśmy przewodnika, ponieważ Anglik znał miejscowość, a szczyt, na który mieliśmy się drapać, zdawał się tak widocznym i łatwym, jak to krzesło na środku pokoju. Widziałem wprawdzie przez lunetę na stoku góry jakieś zmarszczki poprzeczne i podłużne, ale ponieważ nie były większe od zagonów, nie myślałem o nich. Dziwilem się nawet, że na taki spacerek wychodzimy z hotelu o dziewiątej rano, nie chcąc się jednak przyznawać, że nie mam pojęcia o górach, nie robiłem żadnych uwag, a w podróży zachowywałem się, jak turysta, który przedepłtał Himalaje. To zjednało mi ogólny szacunek, a wyjątkową sympatyę ²⁾ u Niemca. Naturalnie, odplacałem mu wzajemnością, był to bowiem niesłychanie miły człowiek, który miał, niestety! jedną wadę: chorował na zawroty głowy.

Drogę mieliśmy wesołą; wszyscy, nie wyłączając Anglika, zbytkowali, jak dzieci, tylko ja by-

¹⁾ Sposobność.

²⁾ Życzliwość.

łem poważny, a Niemiec na każdej spadzistości oglądał się za siebie i cytował wyjątki z Wirgiliusza¹⁾. Mówił, że jest to najlepszy sposób odwrócenia uwagi od tego, na co nie chcemy patrzeć.

— Więc i tutaj kręci się panu w głowie? — spytałem.

— Tak — odparł szybko — ale... nie mówmy o tem, bo nie zrobię ani kroku naprzód.

Umilkłem, a mój Niemiec coraz głośniejsz deklamował Wirgiliusza i coraz częściej oglądał się za siebie. Raz nawet schwycił mnie za rękę i szepnął do ucha:

— Pański spokój jest dla mnie źródłem odwagi. Gdyby pana tu nie było, ustałbym w drodze, albo... karkbym skrzył...

Zimny pot wystąpił mi na czoło, ponieważ stan mojej duszy był zupełnym kontrastem²⁾ tego, co biedny towarzysz wyobrażał sobie o mnie.

Przedewszystkiem mocno mnie niepokoiło to, że, pomimo dwugodzinnej podróży, góra, na którą mieliśmy wejść, wcale się do nas nie zbliżyła; zdawało mi się, że ciągle stoi od nas mniej więcej o wiorstę drogi. Ale moje zakłopotanie dosięgło zenitu³⁾, gdy nagle góra, dokąd zbliżaliśmy się, znikła, a zamiast niej, zobaczyłem ogromne masy ziemi i skał, które zaczynały się gdzieś głęboko w dół, a kończyły — chyba pod gwiazdami.

Ściana, na którą wdrapywaliśmy się, miała formę

¹⁾ Starożytny poeta rzymski.

²⁾ Przeciwnieństwem.

³⁾ Szczytu.

olbrzymich schodów, ze stopniami po kilkaset kroków wysokimi. Stanąwszy pod takim stopniem, myślałem, że to już szczyt, lecz po kwadransie wchodzenia przekonywałem się, że zamiast na szczycie, znajdujemy się na nowym stopniu, albo na małym poletku, za którym stoi jeszcze jeden stopień. I tak bez końca.

Droga tymczasem stawiała się coraz dzikszą. Znikły lasy, trawa, kosodrzewina, nawet ziemia — gruntowa. Stąpaliśmy po warstwie kamieni, coraz większych i coraz łatwiej usuwających się z pod nóg. Coraz gęstszą gromadą otaczały nas olbrzymie czuby gór, przystrojonych kitami obłoków, albo wąwozy, dyszące mgłą niebieskawą.

Niekiedy fałdy góry wygładzały się; niknęły jej wielkie stopnie i tarasy, a zamiast nich widziałem pochyłą ścianę, która wymykała mi się z pod nóg i biegła stromo aż do szafirowych lasów, drzemiących o wiorstę głęboko. Raz, gdy na chwilę zapomniał, że jestem na górze, przywidziało mi się, że stoję na równinie, która nagle uchyla mi się pod nogami, część jej podnosi się aż do nieba, a druga część spada gdzieś aż do wnętrza ziemi. Uczulem zawrót głowy i, aby nie stoczyć się, chwyciłem za ramiona idącego przede mną Niemca. On przyspieszył kroku, i znaleźliśmy się w miejscu mniej stromem.

— Dziękuję panu... — szepnął, mocno ściskając mi rękę. — Już mi lepiej... Uratowałeś mi życie...

Oslupiałem ze zdumienia. A tymczasem idące przed nami panny poprawiały na sobie szale i su-

kienki, które, według ich opinii, układały się nie dosyć estetycznie ¹⁾).

— Ogromny upał! — rzekła jedna.

— Co za niewygodna droga! — biadała jej towarzyszka.

Po kwadransie spokojniejszej drogi ściana, na którą wstępowaliśmy, skończyła się. Zobaczyłem, że ze wszystkich stron otaczają nas nagie albo śniegiem pokryte wierzchołki gór, że między nami i niemi niema nic, a raczej jest tylko powietrze. Nie wiem dlaczego, uczulem w tej chwili jakąś spokojną dumę i bezprzedmiotowy ²⁾ zachwyt.

— Jesteśmy na szczycie — rzekł Anglik i, skłoniwszy się damom, zapalił cygaro.

— Prześliczny widok! — zawołały obie panie.

Wydobyły z kieszeni lusterka i zaczęły poprawiać sobie nieco potargane włosy.

— Druga godzina! — odezwał się mój rodak po polsku. — Dyabli wzięli obiad, a może i kolację...

Niemiec tymczasem usiadł i, pochyliwszy twarz do ziemi, począł deklamować Wirgiliusza.

— Czy widzisz pan Thusis? — spytałem go. — Wygląda, jak kilka ziarek grochu.

— Nic nie widzę i na nic nie patrzę — odparł. — Nadewszystko nie wiem, czy stąd zejść!...

Anglik spostrzegł bladość na jego twarzy, pokręcił głową i podał mu flaszkę koniaku. Chory biedak wypił, trochę odpoczął i uspokoił się.

¹⁾ Pięknie.

²⁾ T. j. niczem nie wywołany

Siedzieliśmy z kwadrans, gdy zerwał się wiatr dosyć chłodny. Właśnie spoglądałem w kierunku Thusis i zobaczyłem szczególne zjawisko. W głębokim wąwozie, który leżał u nóg naszych, błękitna mgła nabrała jaśniejszej barwy, potem zrobiła się niebieskawą, blado-niebieską, nareszcie zupełnie białą. A potem szybko zaczęła wypełniać wszystkie doliny, tak, że zdawało się, iż otacza nas morze mleczne, po którym szczyty gór pływają. I nie tylko pływają, ale stopniowo zaczynają się zanurzać i tonąć. Widziałem wyraźnie jakiś ruch między mgłą a górami, ale przeraziłem się, gdy m spostrzegł, że szczyt, na którym stoimy, poczyną spadać na dół... Bylbym przysiągł, że spadamy na rozpostarty pod nami obłok, ku któremu zbliżaliśmy się ogromnie prędko.

— Co to znaczy? — zapytała jedna z dam Anglika.

— Mgła podnosi się w górę — odparł nieco zaszępiiony. — Musimy schodzić — dodał.

»A więc to nie my spadamy, tylko mgła podnosi się ku nam!...« — pomyślałem znacznie spokojniejszy.

Ale obłoki mają prędkie skrzydła. Jeszcze nie zdążyliśmy powstać z siedzenia, a już mgła otoczyła nas ze wszech stron i, pomimo dnia, zrobiło się tak ciemno, że nie widzieliśmy nawet o parę kroków. Na rękach i twarzach poczuiliśmy wilgoć, potem zaczął padać deszcz, potem deszcz ze śniegiem, a potem śnieg tak gęsty, jak u nas podczas zawiei.

Pomimo to, szliśmy, trzymając się za ręce,

droga bowiem była bezpieczna, a Anglik znał ją wybornie. Niekiedy pod nogami usuwały się nam ślizkie kamienie, a wówczas — zjeżdżaliśmy kilka łokci na dół wśród ogromnego śmiechu. Najgłośniej śmiał się Niemiec, który nabrał doskonałego humoru od chwili, kiedy mgła zasłoniła mu spadek góry i przepaści, pod nią leżące.

Po jednym takim poślizgnięciu się zjechałszy nie dwa albo trzy, ale ze trzydzieści łokci na dół. Już damy zaczęły krzyczeć: »ach! ach!« — kiedy pęd nasz zwolnił, i uczuliśmy pod nogami twardą skalę.

Niemiec, bardzo zadowolony, powstał pierwszy i, wyciągnąwszy kij, chciał iść naprzód. Ale zatrzymał go Anglik.

— Za pozwoleniem — rzekł — muszę zorientować się ¹⁾, gdzie jesteśmy.

Posunął się kilka kroków po omacku i wnet rozplynął się we mgle.

— Ho! ho!...

Znowu wrócił, ale na jego twarzy dostrześliśmy niepokój.

— Może przyda się panu busola ²⁾ — spytał go mój rodak.

— Ależ naturalnie, pokaż pan! — odpowiedział Anglik, niecierpliwie chwytając do ręki małą busolę, którą mój rodak ozdabiał dewizkę zegarka.

Anglik patrzył, kręcił busolą i głową, wreszcie klasnął językiem.

¹⁾ Rozejrzeć się.

²⁾ Kompas, przyrząd z igłą magnesową, wskazujący strony świata.

— Musimy zatrzymać się, dopóki mgła nie przejdzie — rzekł z uśmiechem do dam.

A do nas szepnął:

— Zbłądziliśmy; jesteśmy zupełnie w innej stronie góry...

— A jak wysoko stoimy?... — zapytał Niemiec.

— Może w połowie góry; zresztą... czy ja wiem?

— A może tu jest gdzie przepaść?... — spytał znowu Niemiec.

— I za to nie ręczę — odparł Anglik. — W każdym razie brzegi tej skały są bardzo spadziste.

Damy siedziały zachmurzone.

— Szkoda, żeśmy nie wzięły maszynki do czekolady — odezwała się jedna z nich.

Było już po czwartej, kiedy dmuchnął silny wiatr z boku i na chwilę odsłonił horyzont.

Dreszcz przebiegł mi po skórze. Zobaczyłem, że siedzimy na gzymsie, kilkanaście łokci szerokim. Za nami stała spadzista ściana góry, pokryta śliskimi kamieniami, po których w tej chwili niepodobna było się wdrapywać, a przed nami — o wiorstę niżej — dolina...

O zejściu z gzymsu w stronę doliny nie mogło być mowy, w tem bowiem miejscu skalista ściana góry spadała prawie prostopadle.

— Kiedyż ruszymy, panowie? — odezwała się jedna z dam.

— Kiedy mgła przejdzie — odpowiedział Anglik.

— A jeżeli do nocy nie przejdzie?

— To będziemy tu nocowali.

— Pan żartuje?...

— Wcale nie — odparł z powagą. — Wpadliśmy w pułapkę i musimy być cierpliwymi.

— Więc dawajcie panowie jakieś hasła — wtrąciła druga. — Okolica nie jest przecież pusta... może kto usłyszy...

— Właśnie tak chcemy zrobić...

Mój ziomek miał rewolwer, z którego począł strzelać w stronę doliny. Ale huk był tak słaby, że m wątpił, aby go kto usłyszał.

Tymczasem mgła gęstniała coraz bardziej. Damy owinęły się w szale i siedziały smutne, a Niemiec chodził tam i napowrót, z oznakami wielkiego rozdrażnienia.

Nagle wziął mnie za rękę i odprowadził na bok. Twarz jego miała dziki wyraz.

— Panie — rzekł zmienionym głosem — wiem, że siedzimy nad przepaścią, a choć jej nie widzę, na samą myśl o niej czuję tak straszny zawrót głowy, że... nie wytrzymam dłużej...

— Więc cóż pan zrobisz?... — zapytałem zdumiony.

— Rzucę się! Wolę zginąć, niż tak cierpieć... Pana tylko ostrzegam o tem; inni niech nic nie wiedzą...

— Oszalałeś?...

— Tak... czuję, że oszalałem...

W tej chwili zbliżył się Anglik i, nim się opamiętałem, pochwycił szalonego. Chciał związać mu ręce, a do mnie rzekł półgłosem:

— Zarzuć mu chustkę na głowę...

Ale nieszczęśliwy wydarł się, odepchnął nas obu i pobiegł wzdłuż gzymsu, na lewo.

Po chwili usłyszeliśmy ciężki upadek i stłumiony grzechot toczących się kamieni...

— Co się tam dzieje? — zawołała jedna z dam, usłyszawszy hałas.

— Nic — odparł głucho Anglik. — Nasz towarzysz próbuje wejść na górę...

A do mnie szepnął:

— Ani słowa o tem, bo inaczej reszta pójdzie za nim. W takiej chwili szal jest zaraźliwą chorobą. Przykre położenie...

Wypił potężny łyk koniaku, poczęstował mnie, a potem... ładnym tenorem zaintonował aryę z jakiejś operetki. Zachmurzone Francuzki rozjaśniły warze i zaczęły śpiewać razem z Anglikiem. Nawet mój rodak zapomniał o obiedzie i zawtórował im fałszywym basem, nieustannie myśląc się w melodyi.

Tylko ja milczałem zdumiony i przerażony. Ten śpiew nad przepaścią, po tak strasznym wypadku, dał mi poznać nadludzką odwagę Anglika, ale i grozę położenia.

— Śpiewaj pan! — zawołała do mnie jedna z dam. — Jest to najlepszy sposób na nudy i zimno.

— Może także zwróci na nas uwagę górali — dodała druga.

I zaczęli we troje nową aryę, jeszcze weselszą. Tym razem mój ziomek darł się bez ceremonii, po polsku, w te słowa:

»Zeby cię dyabli porwali, Angliku, razem z twoją górą! Gdybym nie bał się Szwajcarów, zjadłbym cię zamiast cielęciny na obiad«,

Anglik bardzo uprzejmie zwracał do niego twarz pobladałą i wywijał takt ręką.

Wtem... usłyszeliśmy jakiś głos z dołu. Anglik zerwał się na równe nogi i pobiegł w tę stronę gzymsu, z której rzucił się Niemiec.

— Hop! hop! — wołano z dołu.

— Hop! hop! — odpowiedzieliśmy chórem.

Obie damy pocałowały się z radości.

— Nie zabiłem się! — wołał głos. — Schodźcie państwo tędy na dół!... Pyszna droga!...

Ze zdumieniem poznaliśmy głos naszego Niemca.

— Z tego gzymsu panowie możecie zeskończyć, jest zaledwo kilka łokci wysoko... Ale damy trzeba znieść na ramionach — krzyczał Niemiec.

— Chwała Bogu! — zawołał mój ziomek — przynajmniej zjem dziś kolacyę!...

I skoczył prosto w mgłę.

Usłyszeliśmy znowu grzechot kamieni i białający głos ziomka:

— A niech go piorun trzaśnie z taką drogą!... Pewniem nogę wywichnął!...

Potem usłyszeliśmy w dole rozmowę. Widocznie już spotkał się z Niemcem.

Z kolei zeszliśmy wszyscy, pomimo protestu pań, które w żaden sposób nie chciały stawać na ramionach Anglika. W końcu jednak rozmyśliły się: skała bowiem w tem miejscu tworzyła rodzaj progu, wysokiego na trzy do czterech łokci, skąd trzeba było albo skakać, albo schodzić przy pomocy osoby, stojącej na dole.

Opuściwszy fatalny gzyms, znaleźliśmy się na spadzistym stoku, od góry do dołu zasypałym ka-

mieniami. To też nie szliśmy, ale staczaliśmy się z ogromną szybkością i hałasem, wzięwszy się we czworo za ręce: panie w środku, a my z Anglikiem na skrzydłach. Poniżej nas, trochę z boku, ujrzelśmy we mgle jadące dwa cienie: był to mój ziomek i niedoszły samobójca — Niemiec. Pomimo wielkiej szybkości, niemal przez kilka minut toczyliśmy się po stromym spadku góry. Im jednak spadaliśmy niżej, tem bardziej mgła rzedniała; nareszcie, w połowie spadku ujrzelśmy dolinę, a na niej kilka pasterskich szaletów¹⁾).

Gdy w kwadrans później zeszlismy się wszyscy na łące, Anglik, wzięwszy Niemca pod rękę, rzekł do pań:

— Czy panie wiedzą, że przed godziną ten człowiek chciał się zabić?

Samobójca, zawstydzony, odszedł na bok, a Francuzki, widząc powagę, z jaką Anglik mówił, zaczęły się śmiać. Nawet mój ziomek uważał to za doskonały koncept. Ale gdyśmy opowiedzieli wypadek, jedna z dam rozplakała się, a druga doślała spasmów.

Istotnie chwilowemu szaleństwu naszego towarzysza zawdzięczaliśmy życie. Gzysms bowiem wisiał nad przepaścią, a tylko w tem miejscu, skąd skoczył Niemiec, można było zejść w dolinę bez narażenia się na śmierć.

Reszta jego przygody była dosyć prosta.

Rzuciwszy się ze skały, trafił na warstwę kamiaków, a chcąc prędzej skończyć ze swoim za-

¹⁾ Szałasów.

wrotem głowy, biegł przed siebie na oślep. Po kilku minutach wyminął strefę mgły i zobaczył — drogę bezpieczną. Wtedy, ochłonawszy ze wzruszenia, z niemałym trudem wdrapał się znowu na górę, aby nas z niej sprowadzić.

— No, i co pan powiesz — zakończył mój przyjaciel — że od tego wypadku Niemiec najzupełniej pozbył się zawrotu głowy!... Został nawet członkiem klubu alpejskiego, a dziś jego nazwisko spotykam na liście turystów, którzy wchodzą na najwyższe szczyty...

Podobne leczyć podobnem!